

chwili wyciąga z kieszeni dwa pudełka papierosów i daje do podziału.

— Kiepskie te papierosy — mówi — ale jakie mogę, takie daję.

— Znakomite, wyborne, panie obywatelu! — przerywają mu, dziękując przy tym szczerze.

Codziennie na pogawędkę do nas wpadł, serdeczne rzucił słowo, jakby ojcem nam był. Nic też dziwnego, że z utęsknieniem czekano na jego przybycie.

Książek i gazet dostarczał niestrudzenie, dopytując się ustawicznie, czy czego nam nie potrzeba.

Wygadala się wiara przed nim o balu i dalej zapraszać go na tę uroczystość. Wydobył dwie korony, położył na stole jako dodatek, abyśmy przyjęli. Nie chcieliśmy przyjąć pieniędzy, ale po zapewnieniu, że i on przyjdzie na tę uroczystość, przyjęliśmy wreszcie.

— A kiedy to będzie? O której godzinie?

— Niewiadomo jeszcze, ale my pana obywatela zawiadomimy — odparł Weiss.

— Nie wiem, czy będę w domu!

— Zaczekamy z rozpoczęciem.

— E, co to to nie! Jakoś to już będzie!

Pożegnał się z nami, uściśnął serdecznie ręce wyciągnięte do niego i wyszedł. Sc... ordynans kwatermistrza, wyjrzał przez okno, patrząc czy nie nadchodzi Berek z żołdem.

— Pewnie uciekł do Ameryki — śmieje się.

— E... z paru koronami nie opłaci się... zresztą trudno się teraz dostać.

Wysłana patrol z tryumfem przyprowadziła Berka, który z miną zwycięzcy do sali wszedł, brzęcząc pieniędzmi w kieszeni.

— Za pierwsze cztery dni z góry po 32 halerze dziennie wypłacono dla was!

— Z góry, a z dołu by się coś patrzyło — Skiba wtrącił — za cztery miesiące z okładem i coś tam jeszcze!

— Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr — odparł mu Weiss.

Po siedmdziesiąt dwa centy każdy w garści trzymając, ogląda każdego halerza ze wszystkich stron i ci, którzy do balu się przyłączyli, składają wspólnie do czapki Weissa po dwa szóstaki.

— Ondynars — zawołał Weiss na Sc. — tutok chodź.

— Niby, co jest? — odparł zawołany.

— Kupisz to wszystko, co tu jest wypisane, a w nagrodę bezpłatnie korzystać będziesz z programu.

W dwóch kotłach zagotowaną herbatę przyniesiono do kwatery, zalano obficie rumem. Na stole świeżutkie bułeczki pszeniczne, olbrzymi kawał salcesonu i pudełko papierosów w pośrodku. Uczestnicy obsiedli stół dookoła, Berek dzieli salceson na równe części, Sc... nalewa do manierek herbatę. Naturalnie śmiechy, opowiadania, pieśni krążą wesoło, nadzieja lepszej przyszłości jawia się.

— Zdrowie nieobecnego obywatela pana B., naszego opiekuna — wznosi okrzyk jeden z biesiadników.

— Zdrowie! Niech nam żyje!

— I papierosy zawsze nosi! — dorzuca tam któryś.

Prowianty szybko znikły ze stołu, czaj został aż do dna wypity, uroczystość zakończyła się. Obiadu naturalnie już nikt nie jadł, gdyż syci byli wszyscy, herbatą uraczeni.

O drugiej wizyta lekarska. Lekarz zbadał każdego i przeznaczał go, czy to do szpitala, czy do superrewizji, czy też do pozostania jeszcze na kwaterze. Zdrowych i wypoczętych codziennie odsyłano do pułku, tak, że nowi goście co chwila do kwatery przybywali i odchodzili.

Po wizycie lekarskiej pożegnania wracających do pułku, przeznaczonych do szpitali, a potem, o ile dzień ładny, spacer po okolicach Jabłonkowa, po uroczystych wzgórzach i lasach otaczających miasteczko. W pochmurny jednakże dzień, na „pryczy“ towarzystwo skupiało się i tam zabawiali się jedni w karty, drudzy w domino, szachy.

Jednakże chciwie każdy nadstuchiwał wiadomości z pola walki, jak tylko kto z komendy placu przyszedł i począł cośkolwiek opowiadać, już wszyscy koło niego, dalej dopytywać się, czy ten a ten batalion jest w ogniu, jakie straty tej a tej kompanii. Wiadomości te gorączkowały i podniecały nastroj. Jeśli była wiadomość o której kompanii, że jest w ogniu, już kilku maruderów usiedzieć nie może spokojnie, tylko poczynają się zbierać, aby się zgłosić w komendzie, że chcą do linii wrócić.

Koło pieca znów obłożenie. Teraz wojenne „kawały odchodzą“, salwami śmiechu popierane. Kucharz z II. batalionu, Kuc, skupił garstkę koło siebie, opowiada im chwile pobytu w szpitalu w Cieplicach, gdzie przebywał parę tygodni:

— Koło mnie — opowiadał — leżał ciężko ranny

Legionista, obydwie nogi poszarpane miał przez szrapnel. Jęczał ustawicznie, tak, że przykro było słuchać tych jęków, jednak przytomny był zawsze. Raz przychodzi do niego doktor B. i aby go pocieszyć, opowiada mu najświeższą anegdotkę: „Na polu walki, po bitwie, mnóstwo rannych i zabitych pokryło pole. Zdarzyło się, że obok siebie trzech żołdaków legło. Austriacki żołnierz, Moskał i Legionista. Moskał począł strasznie jęczeć i płakać. Legionista, który miał poszarpane nogi, zwrócił się do Moskala i spytał:

— O cóż ty płaczesz?... He?

— Boli... strasznie boli! — jęczał Moskał.

— To nie wstyd ciebie, żołnierza, byś płakał.

Żołnierz ukryć powinien ból i łzę.

— Cóż zrobić, jak wytrzymać nie mogę! Oj... joj... joj...

— Ta patrz tu — pociesza go Legionista — ten austriacki żołnierz więcej cierpi od ciebie, bo ma urwaną głowę, a przecież nie płacze, ani nie jęczy!

— Bycze! Bycze! — rozlegają się głosy śmiejących.

Ale i Skiba nie chciał pozostać w tyle. Podparł się pod boki i ruchem ręki uciszył śmiejących się, by rozpocząć anegdotkę:

Pod Przemyślem, po pierwszym obłożeniu, jak wam wiadomo, około dziewięćdziesiąt tysięcy padło Moskali. Ciała poczęły się rozkładać, smród obrzydliwy rozchodził się po polach. Załoga przemyska zwawo musiała się wziąć do roboty, aby pochować ciała poległych. I zdarzyło się, że podczas kładzenia poległych do wspólnego grobu, ocknął się jeden z nieboszczyków, gdyż omdlały tylko był, i przerażony, kiedy ziemię poczęto na niego sypać, począł krzyczeć:

— Ależ panowie! Na miłość boską! Przecież ja jestem żywy!...

Na to mu odpowiada jeden z grabarzy:

— Wy wszyscy tak cyganie — i sypie w dalszym ciągu do grobu ziemię.

— Ja to inaczej słyszałem — poprawia go Weiss.

— Jak było?! Inaczej! Gadaj Weiss!

— Podczas sortowania ciał na pobojuwisku, doktorzy badali każdego, nieboszczyków znaczone krzyżem. Przychodzili sanitaci i sortowali ciała. Osobno poległych, osobno rannych. I podczas takiego przenoszenia ocknął się jeden z nieboszczyków, a widząc, że go pakują do grobu, przerażony mówi:

— Panowie, ja żywy jestem!

Niosący go odpowiadają:

— Gadaj bracie do maja! Lekarz ta wie lepiej od ciebie!

Śmiech zwabił z legowisk i innych obywateli, którzy z zajęciem poczęli się przysłuchiwać anegdotom, dodając swoje uwagi.

— W jednej kompanii — opowiadał Weiss dalej — był żydek, który rozmaite interesa robił, handlował, czym się ino dało. A że przytem cyganiec także lubiał, nie lubieli go żołnierze i często mu dokuczali. Podczas bitwy zdarzyło się, że granat urwał obie nogi temu żydkowi. Przez pobojuwisko przechodził znajomy mu sanitet; jęcząc, zwrócił się wtedy do owego saniteta:

— Przyjacielu! Przyjacielu! Ratuj!

Sanitet poznał go, a pamiętając szachrajstwa jego, przemówił:

— Widzisz bratku, jak cię dostało. Cyganieś nas całe życie, leżę sobie teraz, niech cię szachrajstwa twoje ratują!

— Przyjacielu! Ratuj!

— Niema głupich! Abyś nas potem jeszcze więcej cyganil!

— Przyjacielu, weź mnie na plecy, zanieś do lazaretu, a ja ci dam za to wszystkie pieniądze, jakie mam ukryte. W tej chwili, kiedy mnie do lazaretu odniesiesz, oddam ci wszystkie. Ratuj przyjacielu, gdyż strasznie cierpię.

Sanitet przez chwilę namyślał się, lecz chcąc zdobyć pieniądze przemogł w nim. Wziął tedy rannego żydka na plecy i począł go nieść do lazaretu, który był oddalony o jakie trzy kilometry. Namęczył się przy tem niemało. Jednakże w drodze przeleciał obok nich granat, który urwawszy żydkowi głowę, o kilkadziesiąt kroków dalej pękł. Sanitet, ogłuszony hukiem, nie spostrzegł się, co się stało rannemu, którego na barach niósł. Zdyszany, zmęczony, przybył wreszcie do lazaretu i rzekł do kolegów:

— No, chłopcy! Macie tu naszego szachraja, opatrzcie mu tam nogi, a za to grube pieniądze dostaniemy.

Mówiąc to, zrzucił ciało żydka na ziemię.

— Co żeś ty przyniósł!? Kadłub? — poczęli wołać towarzysze.

Sanitet popatrzył na ciało, zaklął strasznie i rzekł zgniewany:

— Psiakrew! Cyganil nas całe życie, jeszcze po śmierci nas oszukał.

Głośnie pukanie we drzwi przerwało opowiadanie. Sciwiarski podbiegł ku drzwiom i otworzył. W progu stała jakaś podeszła już wiekiem pani, która zwróciła się z pytaniem, czy jej syna niema tu na kwaterze.

— Nie, niema, proszę pani, może na innej kwaterze.

— Czy go tu wogóle niebyło?

Przeszukałem książkę kontrolną, jednakże nazwiska tego nie spostrzegłem.

— Nie, proszę pani. Na tej kwaterze wcale go nie było. Może tam wyżej o parę domów jest druga kwatera.

Podziękowała i udała się we wskazanym kierunku. Niedługo jednakże powróciła zasmucona i prosiła, stojąc we drzwiach, by obywatel Liszka na chwilę rozmowy przybył.

— Hej Liszka! Liszka! Wizyta!

Podbiegł żwawo, ukłonił się i spytał, czem jej może służyć.

— Proszę pana, byłem na tamtej kwaterze z pytaniem o syna. Powiedziano mi jednakże, że tam go niema też, i że pan będzie wiedział coś o losie jego, gdyż był w jednej kompanii z panem.

— Tak, był — odpowiedział Liszka — ale co z nim, nie wiem.

— Czy ranny może? — z trwogą spytała matka.

— Nie wiem... proszę pani... nie wiem.

— Proszę pana — z rezygnacją w głosie poczęła mówić — niech się pan nie bawi w sentymenta. Matka jestem, Polka jestem. Na wszystko przygotowanam. Tylko prawdę chcę wiedzieć. Niech pan bez osłonek powie. Ale wolę już najstraszniejszą pewność, niż ciągle łudzenie się. Prawda, syn mój zabity?

— Nie wiem, proszę pani.

— Wy, panowie strzelcy, dziwni doprawdy jesteście. Czemu mi nie powiecie prawdy. Nie potem tu przyjechała, aby żyć w niepewności. Padł, męźnie ten cios zniosę. Ale zakrywanie tego daleko większe męki mi sprawia. Powiedzcież panowie — błagalnym tonem poczęła prosić. — Jedynek miałam, jeśli padł, Polka jestem, męźnie ten cios zniosę.

Stałem oparty o framugę drzwi i wsłuchiwałem się w każde słowo kobiety, patrzącej nieustannie nam w oczy, jak gdyby w dusze nasze chciała się wzrokiem wdrzeć i prawdę wyczytać.

— Ależ proszę pani — zwróciłem się do niej po chwili — obywatel Liszka w jednym plutonie był z synem pani. Jeśliby padł syn, byłby o tem wiedział Liszka i z pewnością powiedziałby pani.

Długą chwilę rozmawiała, poczem pożegnawszy się z nami, udała się do komendy placu, aby tam zasięgnąć jakich wiadomości o losie syna.

Wieczór już zapadał, kiedy drzwi raptownie się otworzyły i wszedł ktoś do sali.

— Kwatermistrz jest? — zapytał ktoś.

Berek podeszedł ku stołu i przedstawił się pytającemu.

— Proszę was, kwatermistrzu, przyprowadziłem wam Węgry na kwaterę z trzeciego pułku. Opiekujcie się nim, bo on ani po polsku ani po niemiecku nie umie.

Zaświecono lampę, Węgier począł się witać, podając rękę po kolei wszystkim. Szczupły brunet, o twarzy inteligentnej, dobre czynił na nas wrażenie. Zaraz wyszukano mu legowisko na pryczy, a potem uraczono go herbatą na przywitanie.

Coś nie coś po polsku rozumiał, poczęli go niektórzy uczyć polskich wyrazów. Po kilku godzinach zżył się już z nami, każdy chciał mu coś dobrego wyświadczyć.

— Madziaro! cygareto! — roześmiał się Weiss, podając mu papierosa.

Godzik zawarł odrazu przymierze, na migi poczęli rozmawiać.

— Madziaro — mówi mu Godzik — mów za mną: Chrząszcz brzmi w trzcinie.

— Chsąc bzi... w Cieszynie!

Śmiech głośny na sali.

— Nie w Cieszynie — poprawiano go — ale w... trzcinie!

— Igen... igen... — potrząsa głową Węgier — Cieszynie, Cieszynie... Teschen — i pokazuje ręką w stronę miasta Cieszyna.

Zaczyna mu na migi tłumaczyć, co to jest po polsku Cieszyn, a co trzcina. Zniecierpliwiło go to i pół gniewnie do Grodzika przemówił:

— Ty, ja jestem osioł!

— Jak ty, to nie ja! — odpowiada mu Godzik.

(Dokończenie nastąpi)